

Justyna Drzewicka
Niepowszedni
Tom III Obława

fragment

– Ziemia! Ziemia! Nareszcie! – piskliwy wrzask chłopca okrętowego przetoczył się po „Siewcy”, statku należącym do kupieckiej floty Baldwina II, burząc spokój styczniowego poranka.

– Łąd! Ludzie!

Pierwsi zareagowali marynarze, gdyż nawet oni, stare morskie wygi, dość mieli podróży pośród wichrów nieprzerwanie siekących pokład igłami marznącego deszczu. Kapitan oparł się o ścianę forkasztelu i wreszcie pozwolił sobie na szeroki uśmiech, a załoga zaczęła szybciej kręcić się po pokładzie, wyraźnie uszczęśliwiona.

Nilu rozumiała ich poruszenie. Nigdy nie żeglowali trasami innymi niż południowe, gdzie wody były spokojne, przystanie przyjazne, a ruch kończył się wraz z jesiennymi słotami. Tym razem wyruszyli na północ, na dodatek w połowie grudnia, jakby na przekór staremu morskiemu powiedzeniu z Ferretum, że w październiku wypływają tylko ci, którzy muszą, zaś w listopadzie jedynie szaleńcy. „Siewca” – statek solidny, bo przeznaczony do przewozu ziarna – dzielnie radził sobie na falach, ale Morze Łotrów, po którym przyszło mu żeglować, nienawidziło ludzi i na wszelkie sposoby próbowało unicestwić intruzów. Wściekłość, z jaką grzywacze atakowały burty, rodziła podejrzenie, że, halsując zimową porą, ściągnęli na siebie gniew Pani Mórz.

– Ziemia! Ziemia! – dzieciak nie przestawał krzyczeć, przyzywając garstkę pasażerów od tygodni niecierpliwie wyczekujących tego sygnału.

Nilu, wciśnięta z zaciszny kąt za pomieszczeniami dla oficerów, zerknęła z kryjówki na przyjaciół.

Dalko, zaspany i bosy, wypadł z kasztelu dziobowego, przeklął ziąb, a potem pędem wrócił po buty.

Flawia zbiegła z rufy, gdzie jak zwykle obserwowała fale, a za nią podążył Kadok, którego jedynym zadaniem podczas rejsu było pilnowanie dziewczynki, żeby zbyt mocno nie wychylała się za burtę.

Sambor z Allą przerwali codzienną naukę fechtunku i narzuciwszy na siebie futrzane peleryny, ruszyli ku Wodniczce. Rozejrzeli się za Nilą, ale dała im znać, że do nich nie dołączy.

Chwilę później z kajuty dla oficerów wyszedł starszawy mężczyzna. Odziany w ciężką opończę, stąpał ostrożnie, mocno trzymając się relingu. Miał dobroduszną, okrągłą twarz i na pierwszy rzut oka zdawał się być przyjacielem całego świata, naiwnym oraz uległym. Niepowszedni już dawno zorientowali się jednak, że ta powierzchowność bezwolnego pocziwca kryje osobnika o osłim wręcz uporze.

– Nilu – pozdrowił dziewczynę.

– Hermanie.

– Nareszcie, prawda? – ucieszył się i, nie czekając na odpowiedź podreptał w stronę Sambora i reszty kompanii.

Był jednym z dwóch towarzyszy podeślanych Niepowszednim przez władcę jako wsparcie, ale wciąż nie ujawniły się żadne korzyści z jego obecności. Już dawno osiągnął wiek, w którym człowiekowi bardziej pasowała rola dziadka niż awanturnika na bezdrożach; wszystko wskazywało przy tym, że ryzykaniem nie był nawet w młodości. Nilę dręczyło podejrzenie, że prócz tytułu rządcy i wielkiej torby z cieleńcej skóry ten zaufany administrator tajnych służb księcia nie miał nic, czym mógłby wesprzeć Niepowszednich.

To my będziemy mieli na głowie bezpieczeństwo Jaśniepana, pomyślała.

„Jaśniepan”. Hermanowi należało się to przezwisko, bo niemal każde wypowiedziane przez niego zdanie zaczynało się i kończyło pełną szacunku wzmianką o Baldwinie II. Gdyby za każdą los nagradzał go złotą monetą, rządcą jednego dnia stałby się krezusem.

Nilu wróciła wzrokiem do kajuty pasażerów, gdyż na pokładzie pojawił się Sulmir, młodszy towarzysz Hermana. On z kolei, solidnie zbudowany blondyn o włosach zaplecionych w dziesiątki cienkich warkoczyków, w niczym nie przypominał nawet człowieka o gołęmbim sercu. Z ust nie schodził mu wprawdzie swawolny uśmiech, ale jego oczy nieustannie pozostawały czujne. Dołączył do wyprawy,

by służyć zbrojnym ramieniem i ogromnym doświadczeniem w niebezpiecznych misjach, a nadawał się do tego zadania jak mało kto. Był żywą legendą Ferretum, mistrzem walki na dwa miecze, podporą tajnych oddziałów. Niepowszedni całymi dniami obserwowali go, gdy ćwiczył samotnie na pokładzie. Zdaniem Sambora szczęście im sprzyjało, bo Sulmir miał bitkę we krwi i lepszy od niego byłby już tylko drugi Unik.

Wojownik zbliżył się do dziewczyny pewnym krokiem, chociaż „Siewca” kolebał się zamasyścić, a on taszczył ze sobą nieodłączny wór, z którego wystawały rękojeści mieczy.

– Witaj, śliczna.

– Sulmirze – odrzekła ciepło, przyzwyczajona do żartobliwych komplementów, którymi obdarowywał wszystkich dookoła.

– Idziesz? – Przystanął na chwilę. – Chodź, w kupie zawsze raźniej.

Pokręciła głową.

– Ziemia! Ziemia! – wrzasnął znowu dzieciak.

Zachrypnął już nieco, ale w jego okrzykach wciąż dało się słyszeć wyraźną nutę podniecenia.

– Ziemia! Ziemia!

– Och, zamknij się wreszcie! – ofuknęła szczeniaka Nila.

Od trzech tygodni przygotowywała się na ten dzień, a wystarczył jeden rzut oka na brzeg, by odwaga stopniała w niej szybciej niż płatki śniegu w płomieniach ogniska. Jak ma zejść na ląd, skoro boi się na niego zerknąć? Tylko szalenie nie czułby lęku. Mający na horyzoncie pas ziemi – szary, nieprzyjazny, spowity śnieżnymi chmurami – nosił miano najstraszniejsze ze wszystkich.

– Łajdacki Kraniec – wymamrotała.